

Julia Lovell, *Maoizm. Historia globalna*, tłum. Filip Majkowski, Warszawa 2020, Państwowy Instytut Wydawniczy, ss. 607

W swym monumentalnym dziele o marksizmie Leszek Kołakowski zauważył, iż fakt, że komunistyczna rewolucja w Chinach jest jednym z najważniejszych wydarzeń XX w., nie ma nic wspólnego z wartością jej ideowej doktryny mierzonej kategoriami intelektualnymi. Doktryna ta jest bowiem taka, że „nawet Stalin wydaje się, w tym zestawieniu, tegim teoretykiem” (*Główne nurty marksizmu*, Londyn 1988, s. 1183). Niemal pół wieku po śmierci Mao niewielu poza zasięgiem władzy jego politycznych spadkobierców zechciałoby zaprzeczyć tej opinii. Jednakże wpływ maoistowskiej ideologii, o którym trudno mówić (niestety) tylko w czasie przeszłym, powoduje, iż zasługuje ona ze wszech miar na osobną monografię. Julia Lovell, wykładająca chińską literaturę i historię na University of London, autorka cennych przekładów i prac, spośród których dobrze przyjęto zwłaszcza wydaną w 2011 r. rozprawę o wojnie opiumowej, w 2019 r. obdarzyła nas taką syntezą, szybko przetłumaczoną na język polski.

Stwierdzić trzeba od razu, iż ów pokaźny rozmiarami tom jest tym, czym być powinien i co jego tytuł zapowiada. Mianowicie opowieścią o swoistej idei, a nie biografią jej twórcy, aczkolwiek obu tych spraw nie da się ściśle rozgraniczyć. (Nawiasem mówiąc, piszący te słowa miałby kłopoty, gdyby go zapytano, którą z tak wielu istniejących dziś biografii Mao można określić bezapelacyjnie jako bardzo dobrą). Elementy takiego życiorysu pojawiają się w rozdziałach I oraz IV i są trafne, pod warunkiem, iż wie się dobrze, co autorka ma na myśli. Jej (anty)bohater żył wszak długo (84 lata) i – także we własnej opinii – się zmieniał. Jeśli był „zdecydowanym feministą” (s. 49), to w młodości; jako dyktator, o czym zresztą napomyka Lovell (por. s. 113), utrzymywał cały harem z (często nieletnich) konkubin. Jeśli był „geniuszem teorii politycznych” (s. 69), to także „bajazem” (s. 490); jego geniusz polegał na tym, że tak wielu udawało mu się skusić. Czy był żołnierzem (s. 41), bo tak chyba należałoby przełożyć sformułowanie, które tłumacz oddał jako „człowiek armii”? Owszem, Mao (jak Hitler) lubił określać się w ten sposób i – podobnie jak wódz III Rzeszy – dowodził wielkimi armiami, ale w przeciwieństwie do tego ostatniego nigdy nie zaznał doli szeregowca, bo trudno w ten sposób określić krótkotrwałe zetknięcie się w 1911 r. z ówczesną rewolucją republikańską. Pod tym względem (wbrew temu, co pisze Autorka) Mao przypominał swego mistrza Stalina: obaj przygodę z wojną zaczęli od kierowania wielkimi armiami, i to raczej pod względem politycznym niż *stricte* wojskowym: formalnego militarnego wykształcenia zresztą nigdy nie posiadli. Na pewno chiński dyktator był natomiast „wielkim politycznym manipulatorem [...] i twórcą własnego kultu jednostki oraz osobą zafiksowaną na partyjnej dyscyplinie” (s. 69). Co zaś do jego doktryny, to zgodzić się można z prowokacyjną tezą, zacytowaną za Christophe'em Boursellierem, iż „maoizm nie istnieje. Nigdy nie istniał. I to bez wątplenia tłumaczy jego sukces” (s. 70).

Autorka oparła swoje opracowanie (co zanotować należy z wielkim uznaniem) na szeregu prac w języku chińskim i na rozmowach z mieszkańcami ChRL; ci ostatni w epoce Deng Xiaopinga i jego następców (choć zmieniać się to zaczyna pod rządami obecnego przywódcy Xi Jinpinga) coraz częściej mówią to, co myślą, i to nawet cudzoziemcom (aczkolwiek raczej wolą zachować anonimowość). Nie widać natomiast korzystania z prac tajwańskich, i to nawet wydanych po angielsku, choćby ze znanych czterech tomów *Analytical History of the Chinese Communist Party* (Taipei 1968). Powód stanowi zapewne mniemanie, iż powstała za czasów dyktatury Czang Kaj-szeka literatura

antykomunistyczna była tak stronicza, iż bezwartościowa. Otóż stwierdzić trzeba z naciskiem, iż to nieprawda, przynajmniej odnośnie do jej zawartości informacyjnej. Punkt widzenia Autorki jest niestety częsty w USA. Skądinąd na s. 132 zauważa ona, iż po 1949 r. „amerykańskie służby wywiadowcze nie miały łatwego dostępu do rzetelnych informacji na temat Chin”, choć sprzymierzony z Waszyngtonem rząd w Tajpej dysponował wówczas najlepszymi na świecie i wysoce wiarygodnymi danymi na ten temat. W Białym Domu wolano je jednak kwalifikować jako „biased”.

Julia Lovell wykorzystała nie tylko prace w języku angielskim i chińskim, ale także francuskim, hiszpańskim, niemieckim, włoskim i (incydentalnie) japońskim. Z uwagi na specyfikę problemu było to rozwiązanie oczywiste, ale nieczęsto spotykane w anglosaskim kręgu kulturowym. (Inna sprawa, czy wszystkie te obcojęzyczne teksty czytała sama, skoro w *Podziękowaniach* znajduje się ukłon w stronę matki, Thelmy Lovell, związany z językiem francuskim i włoskim; niemniej i tak jest to osiągnięcie). Pominięty został język rosyjski. Tam gdzie obowiązywał, dyskusja z maoistami rzeczywiście nie była prowadzona *fair*, niemniej trzeba przypomnieć, iż na obszarze większości państw tzw. Trzeciego Świata głos Moskwy zagłuszał jednak nawoływania z Pekinu. W małym stopniu było to spowodowane większą celnością argumentów z Kremla. Julia Lovell naturalnie nie opisuje konfliktu chińsko-sowieckiego jako takiego, miał on jednak potężny wpływ na podjęty przez nią temat, choćby podczas rewolty studenckiej w 1968 r.

Praca ma zasadniczo – z wyjątkiem czterech początkowych rozdziałów – układ problemowy, a dokładniej geograficzny. Z każdym rozdziałem, traktującym o innej stronie świata, czytelnik przesuwają się bliżej współczesności, co jest rozwiązaniem pomysłowym, a chyba też trafnym. Wcześniej pomieszczono rozważania dotyczące doktryny jako takiej oraz sytuacji w ChRL rządzonej przez Mao. Autorka poświęciła parę słów dziełom Przewodniczącego, pretendującym do miana filozoficznych, zwłaszcza osławionym rozprawom *O praktyce* i *O sprzecznościach*. Szkoda, że nie podkreśliła *explicito* całej niemości poznawczej owych rozważań, z których część była banałami zdrowego rozsądku („smak gruszek można poznać tylko wtedy, gdy się ją zje”), a część ewidentnymi nonsensami. Zastanowić się można, czemu tłumacz, na ogół dobrze wywiązujący się ze swego zadania, postanowił na nowo oddać w języku polskim pewne slogany już zakorzenione, np. „władza wyrasta z lufy pistoletu” (zamiast „z karabinu”; *nota bene* chochlik w tytule podrozdziału na s. 37 wydrukował bezsensownie „w lufy”) albo „rebelia jest uzasadniona” (zamiast „bunt jest słuszny”) – ale to zastrzeżenie nie dotyczy Autorki. Ukazując różnice między sowiecką a chińską wersją komunizmu, warto byłoby, moim zdaniem, mocniejszy nacisk położyć na dwie kwestie. Po pierwsze, Mao przyznawał szczególne miejsce w swej rewolucji chłopom nie tylko dlatego, że Chiny były krajem jeszcze bardziej rolniczym niż Rosja, ale ponieważ mniemał, że potencjał rewolucyjny różnych warstw społecznych jest tym większy, im są one uboższe. Po drugie (i chyba istotniejsze), Przewodniczący – wbrew pozostałym klasykom – w praktyce wątpił, czy przepowiadana przez tamtych bezklasowa harmonia jest w ogóle osiągalna. Zapowiadał łańcuch nieskończonych rewolucji wobec wiecznego odradzania się „sprzeczności”.

Jak najślusniej własny rozdział otrzymał Edgar Snow, człowiek, który quasi-reportażową pracą *Red Star over China* zapoczątkował w 1936 r. światową karierę maoizmu. Jak niezwykle trafnie, choć nie wprost, wykazuje to Lovell, uczynił to, nie mówiąc niemal nic o doktrynie, przedstawiając natomiast Zachodowi człowieka, którego celem było jakoby obudzić Chińczyków „do wiary w prawa człowieka, walczyć bojaźliwością, pasywnością i beczynnymi religiami taoizmu i konfucjanizmu, edukować,

przekonywać [...] aby walczyli o życie pełne sprawiedliwości, równości, wolności i ludzkiej godności” (s. 73). Było swoistym paradoksem, że legiony intelektualistów także w Chinach (dzięki zadzierzystemu przekładowi Hu Yuzhiego) poprzez ową książkę nie tylko bez wahania, ale i z entuzjazmem zaakceptowały obraz pogodnych, młodzięcych, dzielących humanistyczne ideały komunistów, na których czele stoi „podobny do Lincolna”, „nie wykazujący żadnych objawów megalomanii”, otwarty na zagraniczny kapitał poeta-uczony. Wierny swemu zauroczeniu Snow pisał potem dalsze dzieła (negując w nich m.in. ludobójczy w skutkach głód w ChRL), ale żadne nie dorównało temu pierwszemu. Nawiasem mówiąc, gdy pod koniec życia usiłował patronować pojednaniu Waszyngton-Pekin, był przez Mao uważany za agenta CIA. Przewodniczącemu nie mieściło się bowiem w głowie, iż Biały Dom pozwalałby na nieograniczoną aktywność człowiekowi tak szkodliwemu dla własnej ojczyzny.

Parę akapitów poświęconych jest Song Qingling, wdowie po pierwszym prezydencie Chin Sun Yat-senie, entuzjastce komunizmu i informatorce Snowa, którą ten ostatni był zafascynowany tylko nieco mniej niż Mao Zedongiem. Owa elokwentna córka milionera, niemal całkowicie zamerykanizowana (rozmawiała po angielsku nawet z przyjaciółmi chińskimi, dopóki – oczywiście w ChRL – nie stało się to niebezpieczne), jak najsluszniej jest tu przedstawiona całkowicie negatywnie. Lovell kładzie nacisk na jej rolę w lukrowaniu wizerunku komunistów chińskich, których stale wspierała finansowo. Można by dodać, iż Song, nietykalna dla Czang Kaj-szeka jako jego szwagierka i ongiś żona *Guofu*, „Ojca Republiki”, równie skutecznie zohydzała światu antykomunistyczną Republiką Chińską.

Jak wspomniano, Julia Lovell nader słusznie wprowadza do swego dzieła tylko elementy biografii Mao. Najwięcej o dyktatorze – nie licząc rozdziału o jego zetknięciu się ze Snowem – przeczytać możemy w rozdziale IV „Globalna rewolucja”, mówiącym o ChRL w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Znajdujemy tu obrazy ukazujące Mao w świetle gorszym, niż mogliby to uczynić Nikita Chruszczow, Czang Kaj-szek i Joseph McCarthy razem wzięci. Wystarczy przytoczyć wyrażony poufnie żal, iż „Amerykanie nie zrzucili bomby atomowej na Fujian” (s. 147; zdaniem mówcy mogłoby to zmobilizować zwolenników reżimu), czy rzuconą mimochodem uwagę, iż podczas osławionego Wielkiego Skoku Naprzód „tylu ludzi zginęło z głodu” (s. 151; dziś, dzięki pracom Yang Jishenga czy Franka Diköttera, wiemy, że co najmniej 40 mln; mimo to dyktator nie tylko zataił fakt kataklizmu, ale i odmówił jakiegokolwiek pomocy). Przypomniane przez Lovell epizody potwierdzają, iż Mao był osobowością patologiczną, całkowicie wolną od osobistego przywiązania do choćby najstarszych towarzyszy walki, a nawet członków rodziny: dorównywał tu Stalinowi, a znacznie przewyższał Hitlera, który, jak się zdaje, szczerze lubił wielu swych partyjnych towarzyszy (oczywiście póki nie wystąpili przeciw niemu).

Spośród dalszych rozdziałów osobne poświęcono czterem krajom – Indonezji, Peru, Indiom i Nepalowi. Afryka pomieszczona została w jednym, USA i Europa Zachodnia w kolejnym, Wietnam zaś i Kambodżę zgrupowano w osobnym rozdziale. Pracę zamyka rozdział zatytułowany „Niby-maoistowskie Chiny” („Mao-ish China”). Rozwiązanie to uznać trzeba za słuszne, wydaje się bowiem, że każda z wymienionych części świata traktowana była przez Pekin nieco odmiennie. Wyjątek może stanowić Peru, wobec którego wypróbowywano rozwiązania testowane i w innych krajach Ameryki Łacińskiej, ale niezwykła (w złym sensie tego słowa) kariera ugrupowania Świetlisty Szlak sprawiła, że osobny rozdział był tu uzasadniony.

Rozdział o Indonezji, traktujący o katastrofie najliczniejszej w świecie partii komunistycznej, która nie doszła do władzy, jest bardzo dobry, ale specyficzny. Wydarzenia,

o których opowiada, w Polsce niemal zupełnie nieznanie (praca Edwarda Baradzieja *Jak Mao obalił Sukarno* [Warszawa 2004] to publicystyka, a znakomite studium Łukasza Bonczola o Suharto dotyka ich tylko pośrednio), odbiły się głośnym echem na Zachodzie, czego przykładem było dzieło, z którego Lovell zaczerpnęła tytuł rozdziału – głośny film *Rok niebezpiecznego życia* w reżyserii Petera Weira. Jednoznaczna na Zachodzie moralna ocena terroru zwycięskiego gen. Suharto, podzielana całkowicie przez autorkę *Maoizmu*, stanowiła tu powód niejakich kłopotów narracyjnych. Wydaje się, iż przyznanie, iż wspierany przez Pekin spisek komunistyczny, którym Suharto uzasadniał swe krwawe kontruderzenie, istniał naprawdę, sprawiło Autorce wielki ból. Docenić należy jej badawczą rzetelność, gdy pisze, iż „Mao i jego idee również odegrały rolę w tej tragedii”, „bez maoizmu trudno sobie wyobrazić, by katastrofa 1965 roku była możliwa” (s. 170), oraz wskazuje, że zachodnie raporty o niewinności komunistów, podparte naukowymi tytułami różnych autorytetów, były fałszywe (s. 194). Wykazuje jednak swoistą pobłażliwość dla przywódcy indonezyjskich komunistów Aidita, twierdząc, iż podczas wizyty tegoż w ChRL „chińscy gospodarze zęczenie ukryli prawdziwą naturę systemu komun – terror, śmierć głodową, kanibalizm” (s. 184). Takim złudzeniom ulegać mogli przybysze z Zachodu – z Davidem Rockefellerem włącznie – ale nie doświadczony gracz polityczny (mimo to wizja szefa kompartii niemającego pojęcia, czym jest naprawdę komunizm, trzyma się w świecie zaskakująco dobrze). Dodaje też, iż twierdzenia, że zamordowani 1 X 1965 r. przez komunistów „oficerowie zostali okaleczeni, w wokół ciał tańczyły nagie kobiety” (członkinie partii), to „fałszywe ubarwienia propagandowe” (s. 190); otóż wcale to nie jest pewne (poza faktem, iż w kraju muzułmańskim nagość, zwłaszcza żeńską, rozumie się nader szeroko). Zakończenie rozdziału (aprobatywnie potraktowany cytat porównujący rządy Suharto do Holocaustu) jest też, oględnie mówiąc, kontrowersyjne: nie był to dyktator totalitarny, jego kraj przeżył znaczący ekonomiczny wzrost, stał się też w końcu obiektem pochwał państw komunistycznych (z PRL gen. Wojciecha Jaruzelskiego włącznie).

Dobrze napisany (punkty za umiejętność syntezy!) rozdział o Afryce ilustruje sprawę nadal aktualną, choć obecnie odnośnie do ekspansji gospodarczej, nie zaś ideologicznej. Symptomatyczne są zacytowane na s. 227 obawy Félixu Houphouët-Boigny'ego: „jeśli nie zachowamy ostrożności, zostaniemy podani jako chińska zupa”. Komunistyczni zwolennicy tyraństwa z Pekinu nigdzie na Czarnym Kontynencie nie zdobyli władzy jako partia, ale natchnęli do rozwiązań podobnych do chińskich miejscowych dyktatorów. Ci, jeśli nawet (jak Julius Nyerere, „czołowy afrykański maofil”) nie stosowali masowego terroru, rujnowali kraj naśladowaniem gospodarczych pomysłów Wielkiego Sternika. Warte uwagi są spostrzeżenia Autorki odnośnie do wykazywanego tu przez Pekin „najgorszego rodzaju kolonialnego rasizmu” (s. 224), choć o traktowaniu w ChRL studiujących tamże Afrykanów napisać można było dużo więcej. Zdumiewają poza tym środki (i kwoty) pompowane przez ekipę Mao w kontynent uważany za najmniej istotny w zimnej wojnie, ale o tym za chwilę.

Odnośnie do Wietnamu i Kambodży symptomatyczne wydaje się podkreślenie przez Autorkę (za Andrew Merta), iż bez Pekinu reżim czerwonych Khmerów w Phnom Penh bez Pekinu „nie przetrwałby nawet tygodnia” (s. 261). Ponieważ także w Polsce związki reżimu Pol Pot'a z ChRL (już kooperującą z USA i rozpoczynającą demaoizację) usiłowano bagatelizować, przytoczone dowody, skądinąd zresztą znane, zasługują na uwagę. Podobnie jak fakt, iż mniej obłędny, ale także krwiożerczy terror w Wietnamie Północnym był również wzorowany na państwie Mao. Lovell podkreśla, że ChRL, której ludność umierała z głodu, dostarczyła ekipie w Hanoi pomoc wartą 20 mld (!)

dolarów; nie wymienia wszakże liczby zainstalowanych w kraju Ho Chi Minha chińskich żołnierzy: otóż było ich 320 tys. Wspominając (słusznie) o odwiecznej rywalizacji wietnamsko-chińskiej i o błyskawicznym (po wycofaniu wojsk USA) pogorszeniu się stosunków między sąsiadami, nie stawia wszakże pytania, które nasuwa się samo: dlaczego Mao wyteżał przez dekady siły, by umożliwić podbój Indochin przez państwo, które wyrosnąć musiało na wrogiego Chinom sojusznika ZSRR? (Dodać można, że po rozpadzie tego ostatniego wciąż komunistyczne Hanoi rozpoczęło antychińską kooperację ze... Stanami Zjednoczonymi).

Omawiane w rozdziale VIII zafascynowanie Zachodu komunistycznymi Chinami to może najbardziej znany (aczkolwiek niekoniecznie w Polsce) zagraniczny aspekt maoizmu. Uwielbienie dla Chin sięgało tak daleko, że radykalne feministki nie wahały się interpretować koszmarnego zwyczaju krepowania Chinkom stóp jako „symbolu kobiecej władzy” (sic!; s. 313), luminarze paryskiego maja 1968 r. postrzegali zaś „rewolucję kulturalną” jako przejęcie steru w Pekinie przez studentów. Słów zachwytu dla skrajnie zmilitaryzowanego reżimu, forsującego przy tym skrajnie purytańską etykę seksualną, nie szczędzili zwłaszcza pacyfiści i hipisi. Uwielbienie admiratorów hasła „nie wierz nikomu po trzydziestce” dla blisko osiemdziesięcioletniego tyraństwa jest symptomatyczne, ale ta część pracy dorzuca najmniej nowego, choć dla polskiego czytelnika może być odkrywcza.

Rozdział o Indiach, napisany w oparciu o (często trudno dostępną) literaturę przedmiotu i wywiady przeprowadzane na miejscu, należy do lepszych w książce. Dobrze uchwycony jest paradoks żywotności maoizmu w państwie, którego elity boją się Chin i uważają za wroga potencjalnie groźniejszego niż Pakistan i islamscy dżihadysty (Pekin oskarżany jest zresztą o wspieranie obywateli). Lovell słusznie odnosi się do indyjskiej „największej demokracji świata” ze sceptycyzmem, wskazując na akty przemocy władz centralnych i ich armii wobec mniejszości etnicznych. Problem w tym, iż (na pewno wbrew jej intencjom) czytelnik odnieść może wrażenie, że maoistowska partyzantka jest jedynym obrońcą takich uciśnionych. Czasami zbliża się to do narracji potępianej przez nią (łagodnie) sławnej indyjskiej pisarki Arundhati Roy, która wiedząc doskonale, iż „gdyby maoiści doszli do władzy, byłaby pierwszą powieszoną osobą” (s. 403) z nienawiści do rządu (i Zachodu), gotowa jest jednak przyznać im wyższość moralną nad przeciwnikami. (*Nota bene* jeden z zarzutów wobec państwa indyjskiego stanowi to, że ma być ono „neoliberealne” [oczywiście gospodarczo, s. 401]). Podobne wahania cechują opowieść o Nepalu, jedynym kraju świata, gdzie maoiści doszli do władzy za pomocą wyborczej kartki (autorka słusznie ma wątpliwości co do nieskazitelnego charakteru tych wyborów, s. 429). Opisy dyskryminacji, zwłaszcza kobiet i dalitów, są tak przejmujące, że czytelnik zaczyna odczuwać sympatię wobec „towarzyszki Kamali, maoistowskiej komendantki podczas wojny domowej” (s. 424), która z przejściem opowiada Autorce o swym pragnieniu edukacji i o ślubie z miłości („ślubowaliśmy zawsze przedkładać interes partii ponad nasz własny interes osobisty i nigdy nie zdradzać partii”, s. 426). Z tym wszystkim kontrastuje uwaga, iż „dowody na skutki rządów Mao, pod postacią obozów uchodźców tybetańskich w Dolinie Katmandu, były pod samymi nosami jego nepalskich adoratorów” (s. 418).

Ostatni rozdział o postmaoistowskich (czy „niby-maoistowskich”) Chinach jest również nader ciekawy i uderza w wiele mitów wokół współczesnej ChRL. Zastanawia swoisty renesans maoizmu nie wśród „zwykłych ludzi”, mogących tęsknić do egalitaryzmu (cenna jest uwaga, że tzw. wskaźnik Giniego dla Chin sięga 0,61, gdy „każdy wskaźnik powyżej 0,40 sugeruje skrajną nierówność w dochodach”, s. 509), ale wśród

elit; otóż krytyka partii rządzącej prowadzona z neomaoistowskich pozycji spotyka się z zadziwiającą wyrozumiałością ze strony przymierzającego się do dożywotniej władzy Xi Jinpinga. Owo tolerowanie neomaoistów ze strony reżimu bezlitosnego dla niekontrolowanego aktywizmu w (bardzo szeroko rozumianej) polityce jest nader znamienne.

Zaskakuje brak wyeksponowania Albanii, której związki z ChRL były doprawdy wyjątkowe, a która (dysponując – w przeciwieństwie do ChRL – miejscem w ONZ) służyła jako trybuna do propagowania poglądów Pekinu. Wydaje się, iż ten leżący w polu widzenia Włoch europejski kraj jest dla badaczy zachodnich bardziej egzotyczny niż Chiny.

Globalny zasięg oddziaływania maoizmu uświadamia przy tym fakt, który Autorka zresztą od czasu do czasu jak najśluszniej podkreśla. Oto władcy ChRL, którzy objęli władzę po niemal czterdziestoletniej (licząc od 1911 r.) wyniszczającej wojnie domowej i stali przed herkulesowym zadaniem odbudowy olbrzymiego i niezmiernie biednego kraju, poświęcali mnóstwo energii i pieniędzy na propagowanie utopijnej ideologii. Działania w Indochinach czy Indiach (z którymi stoczono krótką wojnę w 1962 r.) można by jeszcze politycznie uzasadniać; ale jaki sens miało inwestowanie w „rewolucjonistów” w Kamerunie czy... w Skandynawii? Jakież mogły tam istnieć chińskie „interesy strategiczne”? A jednak w wypadku wielu krajów afrykańskich chińska „pomoc”, i to nie relatywnie, a w liczbach bezwzględnych, była większa niż ta udzielana przez o ileż bogatszy ZSSR (por. s. 205), a przy tym przekazywano ją, gdy ChRL porażona została (wywołanym poczynaniami kierownictwa) największym głodem w dziejach ludzkości. Tymczasem w wielu podręcznikach (w tym w monumentalnej *The Cambridge History of China*) podkreśla się, że ChRL, w przeciwieństwie do Sowietów, jakoby nie angażowała się w działania poza swymi granicami...

*Summa summarum*, mimo wszelkich mankamentów praca Julii Lovell jest nader udaną, a może nawet i wybitną próbą syntezy tytułowego fenomenu. Pod tym względem góruje ona zdecydowanie nad swoimi poprzedniczkami. Dzieło to ma jednak jeszcze jedną cechę aspirujących do miana anglosaskich prac naukowych i nie jest to niestety cecha zbyt fortunna. Ponieważ traktuje o zjawisku, przywódcy i kraju zwalczanym (do czasu) przez Stany Zjednoczone, Autorka czuje się zobowiązana do wielokrotnego upewniania czytelnika, że na pewno nie stoi po stronie zwalczanego przez Mao „zachodniego imperializmu”. Dezawuuje więc głośną w dobie wojny koreańskiej pracę Edwarda Huntera *Brain-washing in Red China*, zapewniając wręcz, że osławione „pranie mózgów” to dzieło zimnowojennej propagandy (s. 102 i n.) i dopiero po przebyciu trzydziestu paru stron pracy zaskoczony czytelnik dowiaduje się, iż „istnieje wystarczająco dużo dowodów sugerujących, że nie było ono jedynie cynicznym wymysłem Huntera – ten termin faktycznie był w nieformalnym obiegu w Chinach” (s. 134; nieco później możemy się dowiedzieć, jak ważną rolę w chińskich obozach odgrywała „reedukacja”). Oburza ją „zarządzone w dobie McCarthy’ego” odsunięcie od posad rządowych tak „wybitnych intelektualistów”, jak John Service czy Owen Lattimore (ten ostatni po opuszczeniu USA stworzyć miał w Londynie „wspaniały Wydział Studiów Wschodnioazjatyckich”) – acz sama pisała wcześniej, iż byli to zaślepieni wielbicielowie Mao, którzy swoimi radami na pewno nie przysłużyli się ojczyźnie, a jako naukowcy mogli wszak działać nadal. Ubolewanie, iż „Stany Zjednoczone z całą pewnością do dziś cierpią z powodu [...] konsekwencji” tych dymisji, zestawia warto z uwagą na s. 73 o „pewnym urzędniku amerykańskiego Departamentu Stanu, [...] który pomagał w potajnym udostępnianiu komunistycznym sympatykom planów bitewnych Czang Kaj-szeka” i o pozostającym pod urokiem Service’a słynnym

gen. George'u Marshallu, który podczas próby mediacji między Mao a Czang Kaj-szekiem „wyjawiał Zhou [Enlaiowi] istotne informacje wywiadowcze” (s. 91). Service, Lattimore *et consortes* przyczynili się waleśnie do porzucenia kuomintangowskich Chin przez Waszyngton i w rezultacie do triumfu komunistów w Chinach, co z dzisiejszej perspektywy jest bez cienia wątpliwości największą polityczną klęską USA w całej ich historii. Z powodu zwycięstwa sprawy, którą wspierali wspomniani przez Autorkę intelektualiści, cierpią dziś nie tylko Stany Zjednoczone, ale też spora część świata.

Przykładów takiego sposobu myślenia można przytoczyć więcej. Na s. 121 Autorka pisze: „amerykańscy obserwatorzy świata komunistycznego byli przekonani, że za wojną koreańską stał chińsko-sowiecko-koreański sojusz [...] pragnący zniszczyć wolny świat” – w takim tonie, jakby owego sojuszu formalnie i faktycznie nie zawarto (14 II 1950 r.), i konkluduje, że „w żadnym razie więc wojna koreańska nie udowodniła istnienia zwartego sojuszu Mao, Stalina i Kima” (s. 123), choć alians ten dotrwał co najmniej do śmierci Stalina, a istniejące w nim tarcia nie były większe niż w każdym innym przymierzu (łącznie z amerykańsko-brytyjskim). Sugeruje (s. 104), iż atakując Koreę Południową w 1950 r., komuniści tylko o włos uprzedzili analogiczne zamiary prezydenta Południa, Syngmana Rhee (choć ten nie posiadał sił zbrojnych, tylko policyjne), powołując się przy tym na kuriozalne prace wielbiiciela Północy, Bruce'a Cumingsa. Jej wywody brzmią czasami tak, jakby przywódcy Zachodu niesłusznie przeceniali zagrożenie chińskie (acz Biały Dom podczas zimnej wojny koncentrował gros uwagi zawsze na Moskwie, nie Pekinie). Na przykład na s. 245 jest mowa o „zaślepieniu” ekipy Dwighta Eisenhowera i Lyndona Johnsona odnośnie do apetytów ChRL, by dwie strony dalej przeczytać z lekkim zdumieniem, iż (jednak) „choć dziś zdyskredytowana, teoria domina dość trafnie podsumowywała ambicje chińskich komunistów co do Indochin” (s. 248). Jednocześnie jako „niepojęta” określona jest „decyzja USA by udzielić poparcia insurekcji wypędzonych czerwonych Khmerów w latach 80.” (s. 245). Otóż wycieńczeni już Czerwoni Khmerzy walczyli wtedy z Wietnamem popieranym przez ZSRR; jeśli poparcie ich było moralnie odrażające (a było), to tak samo określić należy poparcie Stalina przez Franklina Delano Roosevelta w 1941 r. i Mao przez Richarda Nixona w 1972 r.

Jak przystało na Amerykankę, Julia Lovell ma też niezmiernie ponurą wizję brytyjskiego (i zresztą jakiegokolwiek) kolonializmu, o którym napomyka tak, jakby stanowił on zbrodnię porównywalną z tytułowym fenomenem. Niemal rytualnie wdycha, iż ten ostatni miał sukcesy, bo Indie naznaczone były przez kolonializm brytyjski, USA – rasizm, Niemcy i Włochy – przez faszyzm (s. 326) – aczkolwiek ewentualne argumenty *à rebours* (iż twarda władza kolonialna zapobiegła sukcesom zbrodniczego komunizmu etc.) zapewne by ją oburzyły. Na s. 114 stwierdza, iż zasady brytyjskich zarządców Malajów „sprowadzały się do hasła «Azjatów nie przyjmujemy»” (jakim cudem więc Brytyjczycy znaleźli w regionie oddanych współpracowników i komu przekazali władzę?). Rozbicie przez wojska JKM miejscowych komunistów (o czym Autorka wcale obszernie mówi) możliwe było tylko dzięki takiemu pozyskaniu większości mieszkańców. (Nawiasem mówiąc, gdyby brytyjską taktykę wojenną naprawdę naśladowali Amerykanie w Wietnamie – jak przekonuje Lovell na tejże stronie – to nie ponieśliby tam klęski). O władzach kolonialnych pisze tonem moralizatorskiej wyższości („brytyjscy władcy Bengalów”, s. 371 i n.). I tylko mimochodem dowiadujemy się, iż najazd wojsk demokratycznych Indii na Hajdarabad w 1948 r. kosztował życie 4 tys. tylko miejscowych komunistów – takiego rezultatu władze brytyjskie nie osiągnęły na kontynencie nigdy po sławnym Wielkim Buncie z 1857 r.

Błędów jako takich jest niewiele, a pamiętać należy, iż mówimy o wielkoformatowym tomie liczącym prawie pół tysiąca stron tekstu zasadniczego (dalszą setkę zajmują zestawienie chronologiczne, przypisy i bibliografia). Nie występują tu błędy znacznego kalibru. Czang Kaj-szek nie był nigdy generalissimusem, choć tak go nagminnie na Zachodzie tytułowano, a przed 1943 r. nie był nawet prezydentem Chin (s. 75). Nie wypowiedział też Japonii wojny w 1937 r. (s. 494), bowiem – abstrahując od faktu, iż to on właśnie został napadnięty – ze skomplikowanych względów natury prawnomiędzynarodowej nie mógł istniejącego *de facto* stanu wojny ogłosić; stało się to formalnie dopiero 9 XII 1941 r. Nie jest prawdą, iż podczas jedyne go spotkania z Mao „Stalin czynił mu afronty i go ignorował” (s. 143); zmyślono to retrospektywnie w dobie konfliktu chińsko-sowieckiego. Zachodnia Nowa Gwinea nie mogła być przed inwazją indonezyjską „pod okupacją holenderską” (chyba że uznamy każdy kolonializm *ex definitione* za nielegalny), gdyż to właśnie Indonezja nie miała do niej żadnych praw (dał je *post factum* raczej fikcyjny plebiscyt). Pływacki maraton Mao w Yangzi odbył się nie w 1956 (s. 184), ale w 1965 r., lecz to najprawdopodobniej tzw. czeski błąd. Na sowiecki prewencyjny atak na chińskie instalacje atomowe nie zgodzili się nie „jej [Moskwy] sojusznicy” (s. 159), ale sondowani w tej sprawie Amerykanie. „Najbardziej światłe” małżeńskie prawo ChRL, „które dawało mężczyznom i kobietom takie same prawa do wnoszenia o rozwód” (s. 129), było niemal dokładnym przepisaniem prawa ogłoszonego w 1931 r. przez Czang Kaj-szeka. Określanie Mao przez Chruszczowa mianem „rozwalonego kalosza” (s. 150) miało (wulgarny) podtekst erotyczny, a nie było tylko porównaniem do „kieskiej jakości obuwia”. Natomiast przy określeniu Lin Biao, przelotnego następcy Mao, mianem „wojskowego geniusza” (s. 145) warto byłoby dorzucić, iż wódz ten uważał pięciokrotną przewagę liczebną za niezbędny warunek do rozpoczęcia natarcia: w tych warunkach nietrudno być arcystrategiem.

Osobna uwaga dotyczyć musi polskiego przekładu (piszący te słowa przeczytał najpierw książkę Lovell w oryginale). W zasadniczym swym zrebie jest on niezły i pozwala na potoczystą lekturę. Od czasu do czasu natykamy się wszakże na osobliwe sformułowania, w rodzaju „globalna bojowniczność Chin” (chyba wojowniczność, s. 163) czy „pod postacią obozów uchodźców” (s. 418, powinno być w postaci). *Curiosum* jest prowadzone przez maccartystów „polowanie na chińskie ręce” (s. 132); *China hands* to w zawodowym żargonie dyplomatów specjaliści (czy spece) od Chin. Sformułowanie ze s. 502, iż Nixon bombarduje Kambodżę, oskarżając ją, „że kraj ten toleruje wietnamskie obozy komunistyczne”, sugeruje humanitarną akcję przeciw obozom koncentracyjnym; w rzeczywistości chodziło o (wojskowe) bazy.

Owe krytyczne uwagi (przy czym te odnośnie do przekładu nie obciążają rzecz jasna Autorki) nie mogą jednak przesłonić wielkich walorów recenzowanego tomu. Dobrze skonstruowany i sugestywnie napisany, oparty na imponującej liczbie źródeł (którymi w tym wypadku są opracowania, wywiady i prasa), właściwie nie ma odpowiednika w literaturze przedmiotu. Jego ogromny walor stanowi przy tym bezwzględnie negatywny stosunek do tytułowej idei oraz jej twórcy, „dyktatora mającego na sumieniu więcej ofiar niż Hitler i Stalin pospołu” (informacja na tylnej stronie okładki). Także konkluzje są całkowicie słuszne. Lovell podkreśla, iż „maoizm pozostaje niedoceniony, nie tylko jako fenomen chiński, ale i światowy” (s. 486), że w Chinach „był brutalnie nietolerancyjny wobec praw mniejszości” (s. 488) i że „zarówno w Chinach jak i gdzie indziej to właśnie biedota wiejska cierpiała najwięcej z powodu jego teorii i praktyki” (ibidem; przywódcami „ludowego” ruchu byli niemal wyłącznie inteligenci). Na kartach pracy możemy wreszcie znaleźć wiele pysznych portretów ważnych, a mało



znanych u nas postaci – choćby „postępowego” władcy Kambodży księcia Sihanouka, słusznie porównanego na s. 270 do króla Juliana z popularnego filmu *Madagaskar*.

Za udostępnienie tego dzieła polskiemu czytelnikowi (mimo siermiężnej okładki, sprawiającej wrażenie, że książce ktoś ukradł obwolutę) Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu należy się wdzięczność. A raczej należałaby, gdyby nie jeden fakt. Otóż potężny wolumin, stanowiący syntezę wielkiego ruchu i idei politycznej w skali (jak głosi podtytuł) globalnej, pozbawiony jest indeksu nawet nazwisk (charakter książki czyniłby nader użytecznym także indeks geograficzny, jeśli nie rzeczowy). Obniża to ogromnie użyteczność dzieła dla chcącego z niego korzystać specjalisty (i nawiasem mówiąc, wybitnie utrudnia pisanie recenzji...). Najwidoczniej wydawniczo nie ma rzeczy doskonałych.

Jakub Polit

Kraków